

# PRZYJACIEL DZIECI

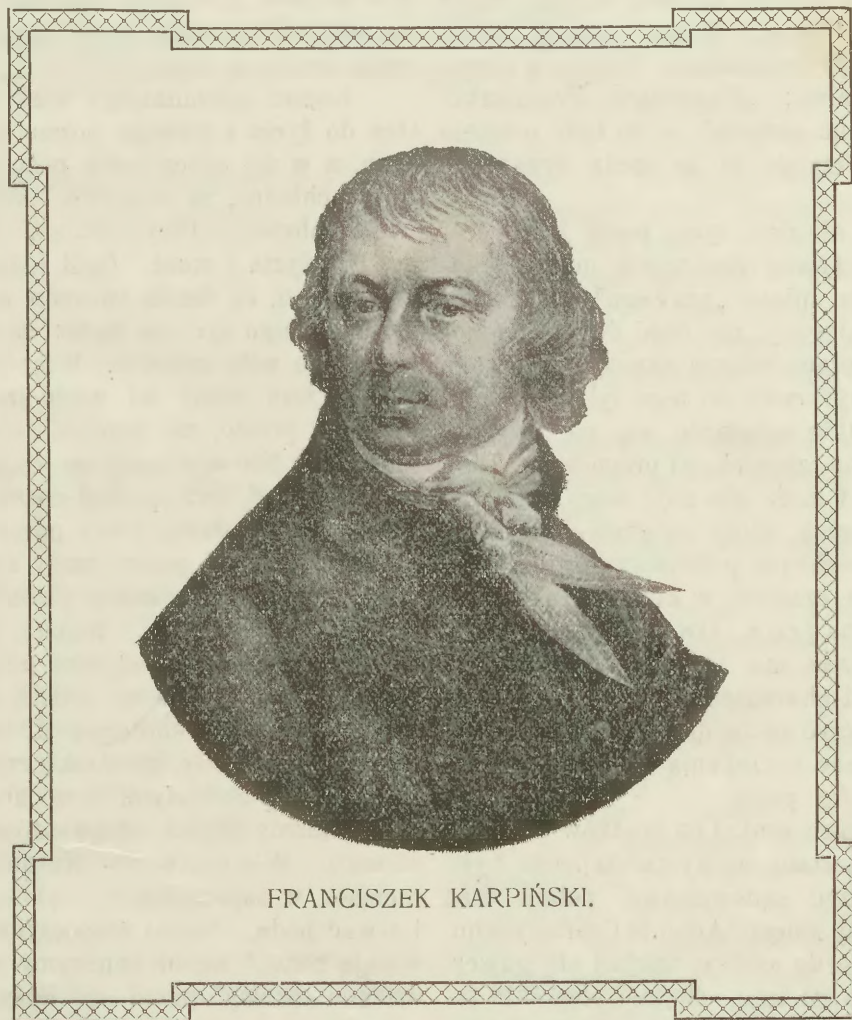
PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

№ 11.

Warszawa, 2 (15) marca 1902 roku.

ROK 42.

ŻYCIORYSY LUDZI ZASŁUGI I PRACY.



FRANCISZEK KARPIŃSKI.

**D**ziwną przygodą zaznaczyły się pierwsze godziny życia Franciszka Karpińskiego, znanego i głośnego w osiemnastym wieku poety. W dniu 8-ym listopada 1741 roku na dom rodziców jego, zamieszkujących wieś Hołosków, w halickiej ziemi, napadł znany rozbójnik, Oleksy Doboszczuk. Wtargnąwszy do niskiego dworku, zastali nieproszeni goście dom prawie pusty, gdyż gospodarz, o napadzie uprzedzony, pośpieszył do poblizkiego lasu, by choć część mienia zabezpieczyć, stoły, jak do uczty nakryte, a w przyległej do jadalni sypialnej izbie garść służebnych niewiast, wylekła matkę z parogodzinem dziecięciem w kolebce. Dziecięciem tem był Franciszek Karpiński. Doboszczuk, bezbronnością matulckiej istotki wzruszony i hojną zastawą stołu zadziwio-

ny mile, do uczty przygotowanej zasiadł wraz ze swymi towarzyszami bez hałasu, poczem, posiliwszy się, bez najmniejszego rabunku dom opuścił, prosząc jeno przed odejściem młodą matkę, by synowi na pamiątkę gościa imię Oleksego dała. Należy przypuścić, że biedaczka nie śmiała odmówić, o dotrzymaniu jednak słowa, w podobnych warunkach danego, nie było mowy, i chłopiec na Chrzcie imię Franciszka otrzymał.

Dziecinne lata zeszyły mu spokojnie, pod staranną, lecz surową opieką rodzicielską, wśród psot i figlów, do których przyszył poeta wielką czułą skłonność, jak to sam później w swym pamiętniku przyznaje. „Z jedną z siostr moich—mówi on—kiedyśmy po pacierzu mleko lub piwo jedli, żem więcej, bo prędzej je jadł, na co ona



się skarżyła, kazałem jej łyżką na połowę mleko przedzielić, ażeby sobie swoją połowę trzymała, a ja tymczasem, jedząc, jej połowę, jak lejką przechodzącą na moją stronę, zjadłem.”

Takie i tym podobne, nieraz dość złośliwe, pomysły leżały się w głowie kilkoletniego Franciszka, więc też ręka rodzicielska sporo miała do karcenia.

W ósmym roku życia do szkół jezuickich w Stanisławowie oddany, pierwszy krok swój na nowej drodze zaznaczył Karpiński ucieczką do domu rodzicielskiego. Ucieczka ta zakończyła się fatalnie: małego zbiega w pół drogi schwytano, do konwiktu odstawiono, a jaki był akt ostatni tej tragedii—domyślacie się zapewne.

Nauki szkolne szły chłopcu dobrze, ale na krótko przed ukończeniem szkół poniósł bolesną stratę: zmarł mu kochany i kochający ojciec. Starzec prawy, zasad surowych, zostawił synowi przykazanie, które mu drogowskazem w życiu być miało: „Powiedzcie Franciszkowi, niech prawdą idzie na świecie” — to były ostatnie słowa umierającego. Przyjęło je ze czcią synowskie serce.

W pozaszkolnem a długim życiu poety mało jest szczegółów, któreby was żywiej interesować mogły. Starzał się żyć „prawdą” i na miano „prawego” wśród współczesnych zasłużyć, ale, niestety, nie dość dobrze pojmował, że obok prawdy i praca własna samodzielna wiele znaczy, że w życiu mamy prawo do tego tylko, co sami zdobędziemy i że wszelkie oglądanie się na względy i pomoc innych ujmę jeno człowiekowi przynoszą. Tego Karpiński nie pojmował i może nie zbyt ostro winić go za to należy. Żył w czasach, kiedy oglądanie się na łaskę możnych było powszechnym prawie zwyczajem u ludzi skromnego mienia, w czasach, w których dworactwo znaczyło więcej, niż usilna praca. Dworakiem zostać nie umiał, więc też powodziło mu się gorzej niż innym, a nie miał dość energii i charakteru, by się na nikogo nie oglądać i śmiało kroczyć swoją drogą. Stąd wynikły znaczną część życia trujące narzekania i skargi, które skądinąd miłą postacią poety psują.

Na rozmaitych drogach szukał on środków do życia, gdyż mienie, po ojcu pozostałe, niewystarczającym było. Rozpoczął od palestry czyli sądownictwa, potem czas jakiś był sekretarzem przy księciu Adamie Czartoryskim. Przeniósłszy się następnie do stolicy, trudnił się guwernerką, rachując na to, że go król, chętnie pisarskie talenty wspierający, łaską otoczy. Gdy te nadzieje zawiodły, Karpiński, rozczarowany i zgorzkniały rzucił świat wielki i na wieś powrócił. Pod koniec życia długo oczekiwana fortuna przybyła nareszcie i poeta, początkowo na dzierżawie, przez króla mu w gubernii grodzieńskiej udzielonej, potem we własnym majątku, Chorowszczyźnie, dożył spokojnie sędziwego wieku <sup>1)</sup>. I przyznać mu należy, że godnie umiał pomyślności używać. Na los ubogich wrażliwy, poczuciem sprawiedliwości przejęty, dobro siał naokoło. Dla wieśniaków był ojcem i opiekunem, szczerze nad poprawą ich bytu pracując, a w przedśmiertnem ostatecznem rozporządzeniu znacz-

nemi ulgami ich obdarzając. Zmarł w 1825 r., w Łystkowicach pochowany, „gdzie lud pobożny — według serdecznych słów Brodzińskiego — błogostawi jego pamięci i w uroczystych obchodach jego słowami pieśni do Boga wznosi.”

Karpiński pisał dużo i długo, od lat młodzieńczych aż do podeszłego wieku, w pracy na tem polu nie ustając. Sił swych próbował on w najrozmaitszych kierunkach. Przekład Psalterza, w którym jednak Kochanowskiemu nie dorównał, pieśni religijne, piosenki ulotne, sielanki, dumy historyczne, wreszcie próbki utworów dramatycznych—oto jego obfity dorobek literacki, wysoko ceniony przez współczesnych, którzy Karpińskiemu zaszczytne miano, „poety serca,” przyznali. Czybyśmy dziś za nimi powtórzyli sąd tak pochlebny? Bezwątpienia nie. Dziś ocena musi wypaść inaczej, bo i wymagania nasze są inne.

Koniec osiemnastego wieku, to czas zły dla poezji. Ona do życia i rozwoju potrzebuje uczuć wielkich, gorących, a w tej epoce serca poetów były po większej części za chłodno, za miarowo. Więc też i z utworów ich wieje chłodem. Przypominają one często kwiaty sztuczne, bez życia i woni. Ogół jednak ludzi, nie ci, co tworzą, lecz ci, co dzieła twórców do duszy przyjmują, bez uczucia długo żyć nie może: za nieobecniem tęskni, powracające wita szczerze. Więc też, gdy się pojawił Karpiński, tem różny od wielu innych, że piosenka jego brzmiała prosto, nie uczenie, lecz serdecznie, przyjęli go radośnie. Nie wstrząsał on duszą ludzką, na wyżyny jej nie unosił, lecz śpiewał ciepło, od serca. To zjednało mu uznanie i sławę, która pocie przez życie całe towarzyszką była. A potem czasy się zmieniły. Po Karpińskim przyszedł cały zastęp pieśniarzy, który nas obdarzył pieśnią tak szeroką i piękną, że przy niej ściechnąć i zmaleć musiało to wszystko, co przedtem wyśpiewaniem było. Zmalał więc i on, i dziś znaczna część jego utworów poszła w zapomnienie, a to, co zostało, razi nas często brakiem siły, niemęską czułościowością i zbyt niemiłym zajęciem się osobistymi zawodami poety.

Bądźmy jednak sprawiedliwi w ostatecznym obrachunku. Wiele utworów Karpińskiego poszło, bo pójść musiało, w zapomnienie — słowa modlitw jego zostały i trwać będą. Niemi rozpoczynamy dzień „Kiedy ranne wstają zorze,” niemi kończymy pracę „Wszystkie nasze dzienne sprawy” przed sąd Boży zanosząc, niemi w wieczór wigilijny witamy malutkiego Zbawiciela, kolędując wesoło:

Bóg się rodzi, moc truchleje,  
Pan niebiosów obnażony,  
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,  
Ma granice nieskończony,  
Wzgardzony — okryty chwałą,  
Śmiertelny — król nad wiekami,  
A Słowo Ciałem się stało  
I mieszkało między nami.

Za te pieśni, tak proste, że je lud za swoje uznał, za tę kolędę, od wieku przez setki piersi przy gwiazdce i opłatku powtarzaną, serdeczna wdzięczność pocie po dziś dzień się należy.

M. Dynowska.

<sup>1)</sup> Te szczegóły wzięte z rozprawy Brodzińskiego: „O życiu i pismach Fr. Karpińskiego.”



## Z myśli Franciszka Karpińskiego.

Mądrym jest stały — ale nie uparty.



Gniew — to krótkie szaleństwo.



Nikt nie będzie szanowany, kto sam siebie nie szanuje.



Najpierwszy rozum — swoje głupstwo poznać i poprawić.



Ten, który odbiera dobrodziejstwo, ma o niem do śmierci pamiętać, a kto je wyświadcza, niechby o niem zapomniał.



Nie rozmawiaj z człowiekiem nieszczęśliwym o twem szczęściu, bo tak zdajesz się z niego uragać.

Jadwiga Chrzęszczewska.



## M R U K.

— Pietro! Hej, Pietro! Gdzie się ten mruk podziewa? Pietro! Nygusie jeden! Darmozjadzie!

Wszaskliwe wołanie biegło z ganku w wązką uliczkę ubogiej wioski. Ale jedyną odpowiedzią był tylko głuchy, miarowy stuk siekiery w dali.

Gospodyni aż ochrypła z krzyku. Z konieczności trzeba było zamilknąć. Więc gdy gardło wypoczywało, oczy biegały niespokojnie na prawo i lewo.

— Gdzie się ten mruk schował?

Odsapnęła i znów otworzyła usta.

— Pietro!

Lecz wołanie przerwało się w połowie wyrazu. Z za węgła domu, wolno, zgarbiony pod ciężarem naręczy dREW, wysunął się chłopak.

— Jesteś przecie! Chodź tu do mnie.

— Zaraz. Ino drzewo do kuchni odniosę.

Za chwilę chłopak stał przed gospodynią.

Chudy był jak szczapa, czarny jak kominiarz. Z pod gęstej, kruczej czupryny patrzyły oczy błękitne, niby dwa lnu kwiaty; drobne, zaciśnięte usta okalał wyraz smutku. Śnać życie nie szło mu po różach, choć tyle ich kwitnęło na oko.

— Czego chcecie, gospodyni?—zapytał.

— Czego chcecie?... — przedrzeźniła go.—A roboty, próżniaku. Przygarnęliśmy włóczęgę z litości i tak nam się wywdzięcza. Coś robił do tej pory?

Chłopiec rękawem brudnej, zdartej koszuli otarł pot z czoła.

— Od czwartej rano rąbię drzewo — rzekł. — Siąg stoi gotowy.

— Kto ci kazał?

— Gospodarz. Szczapy jednej w kuchni nie było. Rozgniewana kobieta umilkła.

Toć pracował... toć są ślady pracy. Już słowa rzecz nie można.

— Ale czemuś mi nie powiedział, ty wieczny mruku? Usta ma zawsze jak zakitowane. Czemuś nie odezwał się gdy wołałam?

Chłopiec milczał. Mógł rzec, iż gospodyni spała jeszcze, kiedy on już do roboty stanął, a potem nie słyszał wołania, bo głużył je stuk siekiery, mógł wytłómaczyć się, ale wiedział z doświadczenia, że to na nie się nie zda.

Kto winien? Zawsze on. Zawsze wszystko złe na niego złożą.

Gospodyni prawdę mówiła. Włóczęgą był, przygarniętym z litości.

Choć pięć lat już upłynęło, on nigdy nie zapomni chwili, gdy z ojcem stanął na progu tej gospody. Miał wtedy dziewięć lat zaledwie.

Po śmierci matki wracali do ojcowskiego kraju, bo matka Włoszką była.

Ojca gnała tęsknica i gnała choroba. Śpieszył się, by w rodzinnej umrzeć ziemi. Lecz droga była długa, tem dłuższa, że ją pieszo musiał odbywać, zarabiając skrzypkami na kawałek chleba. Więc choć śpieszył się, nie zdążył...

Po tygodniowej chorobie w gospodzie śmierć go zabrała. Gospodarstwo podobno dobrzy byli dla biednego wędrowca „per Polacco.” Sprowadzili mu doktora, dali leki, wygodę wszelką; dziecku obiecali przytułek i opiekę.

A choremu serce wzbierało wdzięcznością, więc w ostatnich swych rozmowach z synem, powtarzał mu kilkakrotnie:

— Odptać im za ojca! Odwdzięcz się za mnie!

I mówił jeszcze głosem, rwącym się z wysiłku:

— Pacierzy nie zapomnij, dziecko! Odmawiaj je codziennie, rano i wieczór!... I do kraju wracaj! Pamiętaj, skoro lat dorósniesz, zabierz swe papiery i wracaj... Przyrzeknij mi to, synu!

Chłopiec przyrzekł. Z licznych rad i nakazów ojcowskich, trzy zapamiętał doskonale: Pacierze mówić. Do kraju wracać! Odwdzięczyć się za ojca! Pacierze mówił codziennie: „Ojcze nasz,” „Zdrowaś Marya” i tę pieśń cudną nad cudnemi: „Kto się w opiekę poda Panu swemu.”

Tylko co te słowa znaczyły, już dobrze nie rozumiał.

Do kraju także myślał wracać, choć jakim był ten kraj, gdzie leżał nie wiedział zgoła.

Błąkały mu się wprawdzie po głowie urywki opowiadań ojcowskich, o polach szumiących kłosami, a tak rozległych, że ich okiem z końca w koniec przejrzeć nie można, o lasach, zimą śniegiem zamiast liści okrytych, o rzekach, szumiących wartko, na które mróz mosty z lodu kładzie.

Mosty z lodu! Czy to podobne! Tego chłopiec w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić.



Za opiekę, daną ojcu, za dach i strawę, jakie sam odbierał, odwdzięczał się, pracując całą siłą drobnych, chudych ramion.

Nie lubiono go jednak. Żona gospodarza, dawna opiekunka chłopca, umarła, a siostra jej, stara Margharita, zarządzająca domem, cierpieć chłopca nie mogła. Nie umiał też śmiać się i żartować z gadatliwą gromadą domowników. Był nieśmiały, milczący, smutny. Przewali go więc mrukiem. A mruk od świtu do zmierzchu pracował.

Pomagał wszędzie i wszystkim. Kto chciał w domu, wyręczał się tem biedactwem w podartej koszulinie.

Dom był gwarny i nieraz pełen po brzegi. Wioska leżała w uroczu pięknej okolicy, na granicy Włoch i w porze lata wielu ściągająca podróżników.

Dziś właśnie spodziewano się liczego zjazdu, dobry i obfity obiad był naprzód zamówiony. Gospodarz o świcie umyślnie pojechał po zakupy, aż tu naraz gospodyni spostrzegła, że kawy jest tylko mała garsteczka. Co począć?

Kupić w nędznym sklepiku? Któżby taką kawę pić zechciał? Pożyczyć? Niema od kogo. Trzeba pośłać do miasteczka i to koniecznie Pietra. On jeden zdąży na czas z powrotem.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

## MARZEC.

Marzec zawitał, a z nim w zawody  
Figlarna wiosna nadchodzi,  
Śniegi stajały, pękają lody;  
Rolniku, strzeż się powodzi!

Tu, kędy pusto i jakoś smętnie,  
Powierzchnia śniegów gładka,  
Poła i sady barwnie, odświeżnie,  
Przystroi natura matka!

Wnet wejdzie wiosna, z swym ciepłym wiewem,  
Krocząc przez ciche przestrzenie,  
Zwoła ptaszęta, a one śpiewem  
Zagrzmia pod niebios sklepieniem!

Jaskółka, piękna zwiastunka wiosny,  
W chacie mej gniazdko uściele,  
Wnosząc tam świergot piękny, radosny,  
Dla serc wieśniaczych wesele!

Bociek poważnie wejdzie na łąny,  
Przystanie na jednej nodze,  
Spojrzy czy zaszły jakie tu zmiany,  
Kiedy w powrotnej był drodze.

Zagrzmi też raźnie swojska lirenka,  
Do tonu piosenki mojej,  
Kiedy figlarna, cudna wiosenka  
Drzewa w listeczki ustroi!

*Wł. Karoli.*

*Władysław Umiński.*

## Mierz siły na zamiary.

(SYNOWIE PUSZCZY POLESKIEJ).

(Dalszy ciąg).

Obaj bracia w tej chwili zapomnieli o snuty w cichości planach, cały świat, nawet Ameryka ze stepami i Indyanami, wydawała im się bagatelą w obec spełnionego czynu; serduszka zakolały im dumą i radością na myśl, że wyratowali matkę z przykrego położenia, i że ojcu kupią tytoniu.

Hance widocznie zaimponowała zarobiona przez braci suma, liczyła bowiem wciąż pieniądze, jakgdyby chciała się przekonać, czy nie omyliła się czasem.

W parę godzin potem pusta niedawno spiżarnia napełniła się kaszą i mąką, w szafie znalazł się bochen pyłowego chleba.

Kiedy pan Michniewicz powrócił wieczorem i zasiadł na ganku, Janusz w tryumfie podał mu fajkę, nabita szczerlnie świeżym tytoniem i nie posiadał się z radości, dostrzegłszy zdziwienie, malujące się na twarzy łowczego.

— A, łobuzy jedno! — mówił pan Michniewicz, ciągnąc za uszy synów i uśmiechając się. — Więc po to przesiadywaliście nocami nad strugą? No, dobrze wiedzieć, że macie pieniądze...

Pani Weronika, pielęgnowana przez Hanię, wstała niebawem z łóżka i upiekła synom duży placek z wiśniami, ulubiony ich przysmak.

Jedząc ciasto, chłopcy wszczęli rozmowę o pokrzyżowanych planach podróży.

— Wszystko poszłoby jak z płatka — rzekł w końcu Witold — zebrałibyśmy do jesieni jeszcze z piętnaście rubli, a może nawet więcej, jeżeli lato będzie grzybne... Trzeba tylko zdać wprzód egzaminy z trzech klas przynajmniej, bo inaczej nie przyjmą nas na kadetów marynarskich, a na prostych chłopców okrętowych i nigdy nie zostaniemy oficerami, prawda?

— Ale cóż ja zrobię, kiedy w żaden sposób nie zdolam cię dogonić? — odparł zafrasowany Janusz.

— Będę z tobą przechodził kurs i pomogę ci. Nie święci garnki lepią. Zaraz jutro zaczniemy; już minęły dwa tygodnie, trzeba przypomnieć ojcu.

Przez następne parę dni chłopcy nie mieli jakoś sposobności porozmawiać z panem Michniewiczem, gdyż ten ciągle wyjeżdżał do lasu, wieczorami zaś zamykał się w swej kancelaryi i do późna pracował. Zniecierpliwieni, postanowili wreszcie przeszkodzić ojcu w zajęciach. Zamiast więc iść spać, czekali, aż się wszystko w domu uspokoi, poczem cichutko wśliznęli się do kancelaryi.

Ujrzawszy synów, łowczy drgnął i śpiesznie ukrył książkę, która leżała przed nim. Witoldowi na pierwszy rzut oka zdawało się, że to była algebra, przysłana niedawno dla nich przez stryja.



— Czego chcecie?!—zagadnął ich ostro — czyż nie wiecie dotąd, że nie lubię, kiedy mi kto przeszkadza?

— Nie gniewaj się, najdroższy ojezulku! — zawołał Witold, rzucając się na szyję ojcu—zaraz sobie pójdziemy, chcieliśmy tylko zapytać cię o jedną rzecz...

— Gadaj prędzej i wyście się!

— Dwa tygodnie już minęło — rzekł Witold, oniesmielony szorstkiem przyjęciem.

— Jakie dwa tygodnie?

— Obiecałeś przecie, ojezulku, rozpocząć z nami lekcye z tych nowych książek.

Łowczy zmieszał się.

— A powtórzyliście już przeszłoroczny kurs? — zagadnął.

— Oddawna; umiemy wszystko doskonale, możesz nas wysłuchać... zacznijmy już uczyć się algiebry i greckiego, dobrze?

— Zacniemy algiebrę po wakacyach.

— Po wakacyach? — powtórzył smutnie Witold — tak późno? Przecież mamy zdawać za rok egzamin z czterech klas... nie zdążymy, jeżeli stracimy tyle czasu.

Pan Michniewicz zerwał się z fotelu i biegał przez chwilę po pokoju, potem nagle zatrzymał się.

— Musicie się uczyć sami — rzekł z wysiłkiem — nie mogę wam pomagać dalej.

— Dlaczego?—zagadnął zdumiony Janusz —Przecież sami nie damy sobie rady.

— Dlatego, że teraz umiecie akurat tyle, co i ja... Tak, tak, biedne dzieci, macie ojca, ciemnego prostaka, zdatnego, co najwyżej, do znaczenia drzewa w lesie, niedołągę, który zapomniał zupełnie wszystkiego, czego go uczyli przed laty, nawet abecadła greckiego.

Łowczy zasłonił twarz rękami, runął na fotel, jak zwalony siekierą dąb, i duże, kropliste łzy zaczęły ściekać mu pomiędzy grubemi, opalonymi palcami.

— Ojze, ojze, ty płaczesz?!—zawołał Witold, obejmując ojcu kolana.

— Nie mów tak, proszę cię, tatuchnu najdroższy!—szlochał Janusz—jesteś mądrym bardzo, bardzo i umiesz dużo.

— Nie umiem nic, nie!—powtarzał z rozpaczą łowczy.—Nie licze na mnie!

— Przestań, ojezulku, bo... bo ja się utopię chyba...

I Janusz, nawpół nieprzytomny, upadł na ziemię, zanosząc się od płaczu.

— Biedne dziecko! — rzekł pan Michniewicz—chodź, chodź, przytul główkę do moich piersi, ot, tak... i przebac mi.

— To my jesteśmy źli, bardzo źli — rzekł Witold, okrywając pocałunkami nogi ojca—niepowinniśmy żądać od ciebie, żebyś sobie dla nas suszył swoją biedną głowę. Nie martw się, tateczku najdroższy, przysięgamy ci, że odtąd zacniemy się uczyć sami wszystkiego, nawet algiebry i greckiego! zobaczysz, zdamy egzamin bez niczyjej pomocy.

— Poczciwe chłopcy! — mówił wzruszony do głębi łowczy, ściskając naprzemian obu synów.

Bracia, położywszy się po tej niespodziewanej scenie do łóżka, nie mogli długo usnąć. Rozmyślali o ojcu, przypominali sobie rozmaite drobne fakty, na które

przedtem nie zwracali wcale uwagi, a które teraz odkrywały im całą prawdę.

Przecież od roku ten drogi ojciec ślęczał po nocach nad podręcznikami szkolnemi, przypominając sobie, a raczej ucząc się na nowo tego, co zadał wieczorem swoim synom. Odmawiał sobie snu po całodzienniej ciężkiej pracy, byle tylko wnieść trochę światła do głów swych synów. Dlaczegoż nie domyślili się odrazu tego? nie byłiby korzystali z takiej ofiary.

Nazajutrz chłopcy wykonali u Trzech sióstr uroczystą przysięgę, że będą się uczyli niezmordowanie, że wyteżą wszystkie siły, byle tylko zdjąć troskę z głowy ukochanego ojca i zostać mądrymi, kochanymi ludźmi.

#### IV.

Wyznanie łowczego zapisało się niezatartemi zgłoskami w umysłach jego synów; wierni swej przysiędze, chłopcy, zaraz nazajutrz, od rana, wzięli się do lekcji. Janusz z zapałem zabrał się do tłumaczeń łacińskich, Witold zaś zagłębił się w podręczniku algiebry.

Z początku widział tylko chaos cyfr, liter i dziwnych znaków. Powoli jednak, zwalczając trudność za trudnością, rozjaśniał sobie tajemnice arabskiej nauki.

Owo pokonywanie przeszkód i rozwikływanie zagadek, sprawiało mu coraz większą przyjemność i doznawał żywego zadowolenia po każdym rozwiązaniu zadaniu, i rad dzielił się swojemi nabytkami z młodszym bratem, wciągając go niejako na jeden poziom ze sobą.

Co kilka dni zdawał sprawę ojcu ze swych postępów; łowczy słuchał go uważnie, pykając ze swej porcelanowej fajki, z uśmiechem radości na twarzy, i czasem, jak dwaj rówieśnicy, biedzili się nad jakimś trudniejszym zadaniem; pan Michniewicz, zrezygnowawszy z roli nauczyciela, został kolegą swych synów i martwił się w duszy, dostrzegając, że szybko pozostaje w tyle.

Okolo południa chłopcy kończyli lekcye i biegli nad rzeczkę, łowić ryby wędką, albo do lasu, odwiedzić staro Michałka, który zawsze miał im coś ciekawego do zakomunikowania.

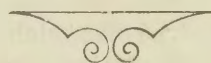
Po obiedzie, który cała rodzina spożywała szybko i w głębokim milczeniu, zasiadano znowu do książek, a nad wieczorem urządzano zwykle z Hanią wyprawę na grzyby, na orzechy, albo zastawiano sidła na ptaki.

Czasami pani Weronika, czując się zdrowszą, brała udział w tych wycieczkach, które, oprócz przyjemności, przynosiły korzyści materyjalne całemu domowi.

Wieczorami czytano, a raczej odczytywano po raz dziesiąty książki od stryja. Janusz nauczył się na pamięć najpiękniejszych poezyi Krasińskiego.

Od pewnego czasu starszy syn p. Michniewiczów chodził niezwykle późno spać, pani Weronika robiła mu wyrzuty, że wypala za dużo nafty i pytała o przyczynę tego wysiadania po nocach.

(Dalszy ciąg nastąpi).





WŁODZIMIERZ TRĄPCZYŃSKI.

## Z biegiem Warty i Noteci.

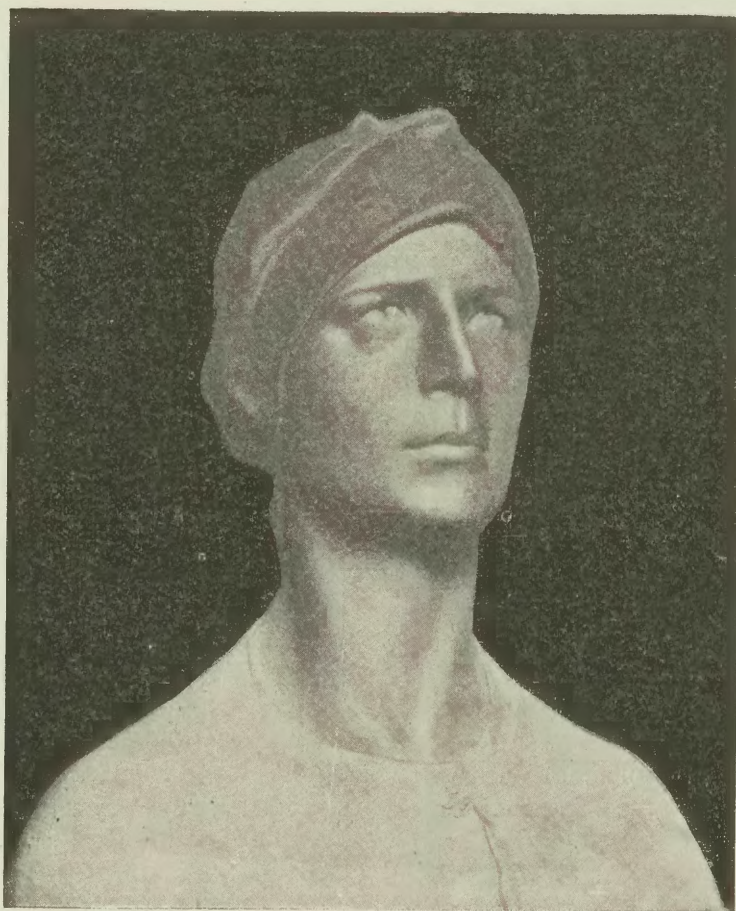
WYCIECZKA WAKACYJNA.

— I ja o tem nie myślałem — łagodnie rzekł młodym, gdy pan Waliński skończył swoje uwagi. — Mam projekt, który wielką korzyść przynieść może chłopcom i który, jestem tego pewien, pochwyca skwapliwie.

lot, że zaś z natury są ciekawi i żądni wiedzy, więc dali się obalamucić niestosownym książkom, które im popadły pod rękę. Nie jest to, mojem zdaniem, zbyt wielkie przewinienie, potrzeba tylko ten ich zapał skierować we właściwą stronę.

— Ale jak to wykonać? — przerwała pani Walińska, z uznaniem przysłuchując się przemówieniu Janusza.

— Sądzę, że nie tak trudno, jakby się mogło wydawać na oko i jeżeli szanowny pan — dodał Janusz, zwracając się z ukłonem w stronę Walińskiego — zechce przychylić się do mojego planu, to za wyleczenie Kazia i Stasia z mrzonek ręczę z góry.



W I A R A.

(Rzeźba K. Laszczki).

— Zaciekawiasz mnie, panie Januszu — odezwał się pan domu. — Projekt wszelki możemy rozważyć, byle wykonanie jego nie było zbyt karkołomne.

— Słuchamy, słuchamy! — zawołały obecne przy tej rozmowie panie i za chwilę, wśród ciszy ogólnej mówił młody nauczyciel:

— Mieszkamy w prześlicznej okolicy, wśród gór i potoków, wśród lasów i jarów, jest wszystko, i ryby, i grzyby, i przechadzki piękne, i widoki prześliczne. Nam, starszym, to wystarcza, bo my coraz nowe odnaleźć możemy źródła przyjemności dla umysłu i serca. Ale chłopcy w tym wieku, jak Kazio i Staś nie odczuwają całej piękności stron olkuskich, im potrzeba czegoś innego, potrzeba nowych wrażeń, poznania nowych ludzi, nowych stosunków. Rodzinną wieś swoją znają na wy-

— Ależ, mów, mów, zaciekawiasz mnie nie na żarty! — zawołał pan domu.

— Za morze, w krainy zaatlantyckie nie myślę puszczać chłopców, sądzą bowiem, że wycieczka po kraju wystarczy dla zajęcia umysłów młodych. Prawda, że w tej wycieczce nie trafi Kazio na tygrysa, ani Staś na dzikiego czerwonoskórego, prawda, że nie będą przedzierali się przez lasy dziewicze, ani też nadeptywali na węże jadowite; ale za to przekonają się, że i we własnym kraju sporo jest rzeczy nieznanych lub mało znanych, że dla oka i ucha wrażeń ilość ogromna.

— Posłałbym ich do Ojcowa, Piaskowej Skały, nawet w Tatry, gdybym wiedział, że pobyt tutaj oddziała zbawiennie — przerwał pan Waliński — wątpię jednak, czy taka kuracja zadowoliliby ich chęć do używania swobody.



— Wymyśliłem też, po dłuższem zastanowieniu, rzecz nową. W pobliżu naszym, bo o kilka mil zaledwie leży Kromołów, biedna dziś osada, choć niegdyś słynęła jako miasto sukienników zasobnych i wytwarzających głośnie w dalszych nawet okolicach „sukno siwe.” W Kromołowie przy kaplicy Świętego Jana tryska źródło, dające początek jednej z głównych rzek polskich, Warcie. Czy nie sądzi szanowny pan, że taka wycieczka, aż hen! przez Częstochowę, Sieradz, Pызdry, Poznań do Kistrzyna, do Brandenburgii nawet, byłaby właśnie tem nleczeniem dla Stasia i Kazia? Zbudować im łódź mo-

jednakże nie podzielała zapatrywań męża, gdyż zerwała się z krzesła i zawołała przerażona:

— Za nic na świecie nie puściłabym ich samych, bez opieki. Warta podobno jest długa bardzo, przejażdżka taka zajęłaby im całe wakacje, a ja, matka, znośliłabym istne tortury, drząc co chwila, że łódź mogła się zatopić, chłopcy zaś utonąć. Nie! nie pozwolę na to nigdy, znajdźcie panowie inne lekarstwo.

— Za pozwoleniem, kochana Maryo—przerwał pan Waliński, całując żonę w rękę — sądzę, że pan Janusz, skoro już cały plan obmyślił, i o obawach naszych nie zapomniał chyba.

— Rzeczywiście, nie przeoczyłem tego szczegółu przeciwnie, byłem nawet tak drobiazgowy, że chcę zaproponować państwu, ażebyście ster nad tą wycieczką mnie poruczyli. Zaopatrzony w „Słownik geograficzny,” podręczniki, mapy, będę mógł na każdym kroku służyć chłopcom wyjaśnieniami. Nie taję, że i mnie wycieczka taka wielką zrobi przyjemność, nie mówiąc już o korzyści naukowej.

Pan Waliński wstał, serdecznie uściśnął rękę młodzieńca i zawołał:



Pogotowie ratunkowe w Warszawie: Lekarz opatruje chorego (str. 168).

oną, dać wiosła w rękę i niechaj płyną w dnie skwarne, wśród nocy księżycowych, wśród burzy i deszczów! Przygód trafi im się po drodze aż zawiele, a przytem wzmożnią sobie mięśnie, zmężnieją i co najwięcej znaczy, poznają, że nie potrzeba szukać obcych bogów. Nawet z dumą będą po powrocie mogli chełpić się przed kolegami: — „Widzieliśmy szmat świata, zażyliśmy wrażeń, przywiązaliśmy się tem silniej do ziemi rodzinnej!”

Pan Waliński wysłuchał z uwagą i widocznie przekonały go trafne myśli młodego studenta, pani Walińska

— Masz aprobatę moją w zupełności. Natychmiast po przyjeździe chłopców zajmiemy się budową łódki i sam odwiezę was aż do stawów mijarzewskich, gdzie już swobodnie będziecie mogli puścić się wszystkimi siłami.

— Za pozwoleniem—wtrącił Janusz—skoro już coś się robi, to dokładnie. Zaczniemy od samego Kromołowa.

— Ha! niech i tak będzie — przyzwolił pan Waliński, podczas, gdy córka jego, panna Zofia, zbliżając się ku młodzieńcowi, dodała prośbę:



— Dla spokoju mamy i dla naszego również pożytku, prosimy o długie „listy z podróży.”

— Najchętniej—skłonił się młodzieniec.— Czego zaś nie będziemy mogli zmieścić w listach, to zanotujemy w „Dzienniczku z wycieczki.”

W oznaczonym z góry dniu przybycia młodych latości zaczęły rodziny państwa Walińskich ruch zapanował w dworze niemały, a szczególnie krzątała się matka, ażeby zdrażonym, umęczonym podróżą daleką chłopcom umilić pobyt w gnieździe rodzicielskiem. Nawet pan Waliński, choć ojcowskie serce jego bolało nad opuszczeniem się synów, rad był ujrzeć chłopców, w których nie przestawał bynajmniej widzieć przyszłych następców i ludzi prawych. Zapewnienia Janusza, iż wycieczka oddziała bardzo zbawiennie i wpłynie na otrzymanie rozpalonych mózgów młodzieńczych, nadzieję tę utwierdzały więcej jeszcze.

Stasia i Kazia lubili wszyscy zresztą we wsi; zarówno tedy Grzela, jak i rówieśnicy z chat i zagród cieszyli się na przyjazd paniczów. Młodzi wprowadzają z sobą życie, słońce, wiosnę, skoro więc po kilkomiesięcznej nieobecności pojawić się mieli synowie dziedzica, z ich przybyciem wchodził też nowy, jasny promień.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## W I A R A.

W biały ją marmur zakuła dłoń mistrza,  
Dała jej lica twarde, nieruchome,  
Dała jej oczy, w których się najczystsza  
Prawda przebija. Ta, co nad poziome  
Sprawy tej ziemi zdaje się rwać w górę,  
I tylko dziw ogarnia, że jej srebrnopióre  
Skrzydła u bark nie rosna...

Ma spokój na twarzy

I usta, zwarte mocą silniejszą nad męki  
I ból całego świata. Miliony ołtarzy  
Wzniosła jej dłoń potężna, a jeden ruch ręki  
Otwierał najniższemu te najwyższe wrota,  
Którymi tylko wchodzi największa z cnót cnota.  
Ma oblicze z kamienia,

Bo twarzą, jak kamień

Wiara w nas być powinna, jak granit niezłomna,  
Nieprzystępna dla wszelkich umysłu omamień,  
Jako ptaki skrzydlata, jak światy ogromna.  
I niech ten ogień boski, co zda się, że żarzy  
W rozmodlonych tych oczach i kamiennej twarzy,  
Tak ogarnie nam dusze, tak nas wyolbrzymi,  
Byśmy, mocą tej wiary, stali się świętymi.

Marya Jedlińska.

## Pogotowie ratunkowe u nas i zagranicą.

Wielkiem zaiste dobrodziejstwem jest w razie niebezpiecznego wypadku natychmiastowa pomoc lekarska. Niezawsze i nieszczęście o nią łatwo, a wypadek bywa często tak groźny, że zwłoki nie cierpi. Każda sekunda wtedy droga, o życiu ludzkim stanowi. Oto, na przykład, murarz spada z rusztowania lub robotnik nieostrożny został poszarpany przez maszynę w fabryce; oto ktoś został napadnięty przez łotra i srodze poraniony lub otrut się, nieuważnie połknawszy kwasu karbolowego zamiast wody; oto znajdują jakiegoś wisielca lub topielca; oto strażak, podczas pożaru, został przytłoczony belką i t. p. W takich wypadkach nieszczęśliwych, jeżeli lekarz niezwłocznie przybędzie i środki zaradcze zastosuje, to życie człowieka ocalone. W przeciwnym razie śmierć zabiera człowieka, a z nim najczęściej szczęście i byt rodziny, siłę, dla ogółu pożyteczną.

U nas, do niedawna, nawet w Warszawie nie o każdej porze lekarz natychmiast do chorego przybywał. We dnie lekarze nasi krótko przesiadują w domu—muszą odwiedzać chorych w mieście lud dozorować ich po szpitalach. W nocy znaleźć lekarza jeszcze trudniej, bo każdy musi przecież wypocząć. Łatwo tedy zrozumieć, jak wiele Warszawa zawdzięcza tym, którzy dla jej mieszkańców postarali się o natychmiastową pomoc lekarską w razie nieszczęśliwych wypadków, już od lat kilku. Obecnie, w razie nieszczęścia dość zawiadomić tak zwane Pogotowie Ratunkowe (to doraźna, natychmiastowa pomoc lekarska takie nosi miano) chociażby telefonem, a niezwłocznie, we dnie czy w nocy, ratunek przybywa.

Znają warszawianie doskonale owe dobroczynne karetki Pogotowia ratunkowego, zaprzężonych w parę dzielnych koni, które rwą po bruku z kopyta, jak gdyby wiedziały, że od ich pośpiechu życie człowieka zależy. Na koźle siedzi woźnica, który, jadąc, trąbi, czyni zaś to dlatego, żeby mu się z drogi usuwano. Obok woźnicy siedzi posługacz, znający się na doglądaniu chorych, w karetkce zaś lekarz i felczer, z podręczną apteczką, z narzędziami chirurgicznymi, z bandażami, noszami do przenoszenia chorych i t. p. Karetka, na resorach, wysłana miękko, więc nie trzęsie; tak jest urządzona, że cała jej strona jedna na dół się opuszcza, pozwalając chorego, bez zginania go lub nachylania, wygodnie wewnątrz umieścić. Przybywszy na miejsce wypadku, lekarz opatruje chorego, oddaje rodzinie, jeżeli rodzinę posiada i jeżeli ma środki na leczenie się w domu, w przeciwnym zaś razie umieszcza go w szpitalu. I za takie dobrodziejstwo ani grosza wynagrodzenia nie bierze...

Jakimże się to dzieje sposobem? Takim, że Bóg zsyła na świat ludzi zacnych, którzy w Jego imieniu miłosierdzie czynią, wspierają sieroty, nieszczęścia i inne nędze. Ponieważ ludzie tacy nie mogą sami wszystkich łez niedoli obetrzeć, wszystkich strapien bliźnich ukoić, dają przykład z siebie, odzywają się do ogółu, wskazują mu obowiązek, ogół zaś szelągów wdowie składa, z których się wszelkie dzieła miłosierdzia budują. Tak samo było z naszym Pogotowiem ratunkowym. Temu lat kilka, ś. p. Konstanty hr. Przeddziecki, przypatrzwszy się



zagranicą, jak wiele dobrego robią tam Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej, postanowił i u nas podobne zaprowadzić. Wezwał do narady grono lekarzy i osób znaczniejszych, sam pierwszy fundusz na ten cel szlachetny ofiarował, osoby miłosierne przyrzekły płacić na utrzymanie Pogotowia po pięć rs. rocznie, kto miał środki po temu, ten złożył więcej—i oto zyskaliśmy nieocenione dobrodziejstwo. Konstancy hr. Przeździecki wkrótce umarł, lecz brat jego, Gustaw hr. Przeździecki dziełem szlachetnym się opiekuje, szczodłą ofiarnością je wspiera. Z początku „Pogotowie” było ubożuchne, rozporządzało jedną tylko karetką dla chorych. I obecnie nie należy do bogatych, w każdym razie jednak rozwinęło się i rozwija wciąż, posiada więcej karetek, koni, lekarzy i służby zdrowia. Członkowie, opłacający składkę na jego utrzymanie, wciąż przybywają, chociaż nie tak licznie, jak tego pragnąć należy. Zawsze przecież ta pożyteczna ze

darmo nie dostaje. Lecz w Berlinie strażnice lekarskie szybko sobie byt wywalczyły. Obecnie jest ich przeszło 20. Każdy mieszkaniec w razie nagłej choroby ma pomoc lokarską pod ręką, w każdym domu, nad bramą lub w sieni, znajduje się napis wyraźny, gdzie szukać najbliższej strażnicy. Podobne wskazówki widnieją na słupach, stojących przy zbiegu ulic. Na słupach tych znajdują się także adresy biur policyjnych, które dostarczają karet do przewożenia chorych. Berlińskie strażnice lekarskie utrzymują się: z opłat stałych członków założycieli, z ofiar dobrowolnych, z funduszków otrzymywanych z rozmaitych widowisk, i z opłaty za pomoc udzieloną, jeżeli chory jest w możności ją uiścić. Wydatki jednej strażnicy wynoszą rocznie około 3,000 marek (marka znaczy 30 kop.); samo mieszkanie kosztuje 1,200 marek, każdy z trzech lekarzy otrzymuje za dyżur w nocy 6—8 marek, a felczer—3 marki. Miasto daje strażnicom oko-



Pogotowie ratunkowe w górach.

wszech miar instytucja ma być uchwalony i nie daj Boże, żeby kiedykolwiek upaść miała. Byłoby to wstydem dla nas i wielką krzywdą dla ogółu. Dlatego ludzie o takich urządzeniach pamiętać i wszelkimi sposobami wspierać je winni.

Zagranicą Pogotowia ratunkowe szybciej i pomyślniej się rozwijają. Weźmy stolicę Niemiec, Berlin. Stolica ta, przed 30 laty nie posiadała, z wyjątkiem klinik i szpitalów, doraźnej pomocy lekarskiej, dopiero w roku 1872 powstały dwie strażnice lekarskie. Z początkiem musiały one walczyć z mnóstwem przeszkód, głównie zaś—jak i u nas—z brakiem funduszków, z obojętnością publiczności. A przecież lekarze, i pomocnicy ich, w Pogotowiu pracujący, muszą być opłaceni, bo z czegożby żyli? Trzeba także funduszu na opłacenie mieszkania, gdzie się mieści instytucja, na lekarstwa, narzędzia, utrzymanie koni i tysiączne inne potrzeby. Niczego się

ło 40,000 marek corocznie. Przy każdej strażnicy istnieje oddzielny zarząd, który się troska o jej potrzeby. Zapłata, w razie możności, wynosi od chorego: na stacyi 3, a w domu 6 marek.

W związku ze strażnicami lekarskimi pozostają w Berlinie zakłady, zajmujące się wyłącznie przewożeniem chorych. Najstynniejszym jest zakład Koppa, połączony bezpośrednio ze strażnicami lekarskimi i biurami policyi. Posiada 24 powozy, 17 koni i 18 ludzi do obsługi. Powozy dzielą się na trzy klasy; za przewiezienie chorego płaci się 10, 15 lub 25 marek.

U nas, w Królestwie Polskim, po za Warszawą, tylko w Łodzi jest Pogotowie ratunkowe. W Niemczech nawet małe miasteczka i wioski posiadają strażnice lekarskie, w ten lub inny sposób urządzone. Na rysunku widzimy Pogotowie ratunkowe w okolicy górskiej, podczas zimy, ponieważ miejscowość nie pozwala nżywać ko-



ni do przewożenia chorych, dokonywają tego ludzie, opłacani przez gminę. Miejmy nadzieję, że i nasze miasteczka oraz wioski doczekają się takiego dobrodziejstwa. Ludzie coraz więcej zaczynają dbać o zdrowie, coraz też więcej odzywa się w ich sercu uczucie miłosierdzia.

## DWAJ BRACIA,

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY.

Według A. Daudeta opracowała A. Domanowska.

(Dalszy ciąg).

— Co mi powiesz?

— Przyszedłem do szanownego księdza z prośbą o pożyczenie mi Pestalozziego <sup>1)</sup>.

— Pestalozziego? Ho! ho... Ty chcesz czytać Pestalozziego. No, proszę, ktoby się tego spodziewał. Skoro jednakże tak bardzo sobie tego życzysz, to i owszem. Patrz-no! twój Pestalozzi leży tam, na ostatniej półce od okna, weź go i czytaj z pożytkiem. Tylko pamiętaj nie splamić książki.

Podziękowawszy, chciałem odejść, lecz ksiądz zatrzymał mnie jeszcze.

— Jakże ci idzie w klasie z chłopakami? Masz nieraz twardy orzech do zgryzienia? Co?

Milczałem, zawstydzony.

— No, no... nie rumień się, mój mały. Wiem, że nie stąpasz tutaj po różach i że twoi uczniowie porządnie ci nieraz dokuczają. Ale to nic, to minie...—i spojrział na mnie.

W oczach księdza było tyle współczucia, że nie mogłem powstrzymać się od łez i zakryłem twarz trzymaną w ręku książką.

To był pierwszy użytek, jaki zrobiłem z Pestalozziego.

Ksiądz Marcin powstał z krzesła i zbliżył się do mnie.

— Właśnie miałem cię zapytać, mój młody przyjacielu—rzekł z powagą—czy całą duszą kochasz Boga? Trzeba kochać Stwórcę, pokładać w Nim nadzieję, modlić się szczerze i gorąco, nie szemrać nigdy przeciwko Jego wyrokowi? Rozumiesz? Pamiętaj, Ludwiku, że przeciw wszelkim troskom, przeciw wszelkiej niedoli, dwa są tylko lekarstwa—modlitwa i praca. One pomogą ci z pewnością.

Zamilkł na chwilę, a potem dodał łagodnie:

— Ile razy będziesz potrzebował książek, przyjdź do mego pokoju, klucz zawsze znajdziesz we drzwiach, a dzieła pedagogiczne, jak ci już mówiłem, leżą na trzeciej półce na lewo. Bierz, co ci się podoba. A teraz, dobranoc.

I skwapliwie powrócił do czytania, ja zaś udałem się do swego pokoju.

<sup>1)</sup> Pestalozzi, znakomity pedagog, urodził się 1746 roku, umarł 1827 r.

Korzystając z danej mi swobody, czerpałem z biblioteki księdza Marcina, jak ze swojej własnej. Przychodziłem jednak po książki zwykle wtedy, kiedy ksiądz był w klasie, na lekcji, gdyż nie chciałem mu przeszkadzać w pracy. Czasami przecież zastawałem księdza w pokoju; siedział zwykle z piórem lub książką w ręku.

— Jak się masz, mój chłopcze?—rzucił mi wtedy na powitanie.

I na tem koniec.

Do końca roku szkolnego nie zamieniliśmy z księdzem nawet kilkudziesięciu wyrazów. A jednak głos jakiś szeptał mi w duszy, że ten milczący, szorstki człowiek jest moim przyjacielem.

Zbliżyły się wakacje.

Wieczorem, po lekcjach, każdy uczeń wyjmował swój kalendarzyk i wykreślał w nim dzień ubiegły, myśląc przytem:

— Jakież to szczęście! wakacje już o jeden dzień bliżej!

Nadszedł wreszcie ów termin, tak gorąco przez wszystkich oczekiwany.

Rozdanie nagród odbywało się zwykle na dziedzińcu, gdzie w głębi wznoszono estradę. Tam, na wysokich aksamitnych fotelach siedzieli zwierzchnicy szkoły.

U dołu estrady umieszczono orkiestrę uczniowską, za nią, na kilkunastu długich, rzędem ustawionych ławkach, siedzieli uczniowie ze swemi klasowemi gospodarzami, a dalej dopiero było miejsce dla publiczności.

Rozległ się dzwonek, oznajmiający początek uroczystości.

Powietrze było duszne, upał nie do wytrzymania, pomimo to wszyscy wyczekiwali spokojnie końca przemówień, następujących jedno po drugim.

Nie słuchałem żadnego, choć narówni z innemi biłem brawo.

Kiedy nareszcie ostatni uczeń z listy nagrodzonych został wywołany, muzyka zagrała marsza i wszyscy opuścili swoje miejsca.

Zaczęły się powitania, zabrzmiały okrzyki radości. Matki ścisnęły synów, siostry—braci. Wszystkim było wesoło! Wszystkie twarze promieniały nadzieją przyjemnego spędzenia wakacji!

Tylko mały człowieczek stał smutny, z głową spuszczoną. Biedak! nie miał dokąd jechać na lato, był zdala od swoich.

### V.

Wszyscy rozjechali się. W szkole pustka, cisza, tylko szczury, nawet w biały dzień, wyprawiają harce. Na dziedzińcu, wśród zieleni, od rana do nocy rozlega się przeraźliwy świergot, to stada wróbli widać także święcą wakacje.

A co robi mały człowieczek?

Mały człowieczek sam jeden w opuszczonym gmachu szkolnym z zapalem pisze greckie i łacińskie ćwiczenia i czyta pedagogiczne dzieła.

Przychodzi mu to wszakże z trudnością, w niskim pokoju pod strychem jest tak duszno, a na dworze tyle zieleni, światła i powietrza.



A jednak myśl o tem, że ma być podporą rodziny Ejsetów i to nazwisko może kiedyś opromieni sławą, jest nad wszystkie pokusy mocniejsza i mały człowieczek nie porzuca prawie książek.

Lecz przyszła chwila, kiedy i jemu sił zabrakło, głowa ciężko opadła na piersi, a szafa, stół, książki i wszystkie przedmioty zawirowały dokoła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Pytania do nagrody.

Która gubernia Królestwa Polskiego słynie z jezior?

Za najlepszą odpowiedź redakcja przeznaczą książkę dla młodzieży, którą wybierze sobie dowolnie sam nagrodzony. Po wskazaniu ustnie lub listownie dokładnego adresu, a zarazem tytułu wybranej książki, nagrodzona lub nagrodzony niezwłocznie ją otrzyma.

Odpowiedź na pytanie zamieszczone w № 10-tym. Gubernia Piotrkowska leży na południowo-zachodnim krańcu Królestwa Polskiego i graniczy na północ i na wschód z gubernią Warszawską, Radomską i Kielecką, na południe z Austryją, na zachód z Prusami. Dzięki swemu handlowemu położeniu między dwoma ościennymi państwami, gubernia Piotrkowska należy do najbardziej zaludnionych i przemysłowych w kraju. Rozwojowi handlu sprzyjają również łatwe komunikacje. Z północy ku południowi przerywa gubernię kolej Warszawsko-Wiedeńska na długości 248 wiorst, a z nią łączy się kolej Łódzka (26 w.). Pierwsze miejsce zajmuje przemysł tkacki i przędzalnie bawełny, następnie przemysł górniczy i dobywanie węgla kamiennego. Środkowym punktem tego przemysłu jest Łódź, za nią idą Pabianice, Zgierz i Tomaszów. Łódź dopiero w ostatnich czasach zaczęła się rozwijać, wzrost jej jednak i rozwój życia przemysłowego jest wprost zdumiewający i przypomina swoją szybkością wzrost miast amerykańskich. Niegdyś wieś biskupów kujawskich, już na początku XV wieku wyniesioną została na miasto, nie jednak nie zapowiadało jej późniejszego rozkwitu. Dopiero z napływem Niemców kolonistów na początku XIX wieku miasteczko poczęło się ożywiać, w roku 1820 zostało fabrycznem, a w 1841 r. otrzymało prawa i przywileje, służące miastom gubernialnym. Od tego czasu miasto zaczęło się szybko podnosić i dziś jest prawdziwą stolicą przemysłu krajowego. Liczy obecnie przeszło 300,000 mieszkańców, posiada najnowsze udogodnienia miast wielkich, a niektóre fabryki, jak na przykład przędzalnia Karola Szajblera, z maszyną parową o sile 800 koni i z zastosowaniem najnowszych wynalazków technicznych, należą do najpierwszych tego rodzaju fabryk w Europie. Wyroby przędzalni łódzkich cieszą się ogromnym powodzeniem na rynkach zagranicznych. Obróbka wełny, wyrób sukien i kortów, koncentrują się w Tomaszowie i Zgierzu, szczególnie sukna tomaszowskie znane są ze swej dobroci. Ogniskiem przemysłu górniczego jest powiat Będziński, a mianowicie trzy miasta: Będzin, Dąbrowa i Sosnowice. Uboga

gleba tamtejsza nie sprzyja rolnictwu, które też stoi na dość niskim stopniu rozwoju. Za to bogactwo kopalne, przy obfitości materiału opałowego i wody, dostarczającej siły poruszającej, spowodowało pomyślny rozrost przemysłu górniczego, któremu tu się oddaje przeważną część ludności. Miasteczko Będzin, pierwotnie osada, zawdzięcza swój rozwój zamkowi, który tu, na skalistej górze, po nad Czarną Przemszą założył jeszcze Bolesław Wstydlivy dla obrony od napadów sąsiedniego Szląska. Od Kazimierza Wielkiego otrzymało przywilej rządzenia się prawem niemieckim. Z zakładów fabrycznych najważniejsza jest rządowa huta cynkowa, a tuż pod miastem znajduje się bogata kopalnia węgla kamiennego, zwana Ksawery i przylegająca do kopalń Reden i Huta Bankowa, leżących bliżej Dąbrowy. Trzy te dzielnice stanowią jakby jeden okręg górniczy, obejmujący 29 kopalni, ciągnących się w pasie na 2 1/2 mili długim, a 2 mile szerokim, pomiędzy wsiami: Wojkowice, Gołonóg, Strzemieszyce, Sławków i granicą Austriacką. Produkcya węgla wzrosła tu do 55 milionów pudów i opala dzisiaj większą część kraju. Niedaleko od Dąbrowy leży osada fabryczna Sosnowice. Nagromadzenie w tym obszarze rozlicznych bogactw naturalnych i nadgraniczne położenie przy linii drogi żelaznej, łączącej Warszawę z Wiedniem i Wrocławiem, były niezwykle sprzyjającymi okolicznościami dla rozwoju Sosnowca. Największą produkcję przedstawia wielka przędzalnia bawełny Dittla, przerabiająca około 50 tysięcy pudów wełny. Wyrabiana tu przędza idzie przeważnie do Łodzi i Moskwy. Istnieje tu również wysoko rozwinięty przemysł żelazny, fabryka rur żelaznych, wyrobów miedzianych i naczyń.

Za najlepszą odpowiedź na pytanie do nagrody, zamieszczone w № 10, uznano podpisaną pseudonimem „Myśl-Wincenty.”

W dalszym ciągu na pochwałę zasłużyły odpowiedzi: Panierek: „Ludy z Uk.“ (pseudonym), Haliny W. z W., Zosi Sz., Władzi M. z L., oraz Aleksandra H. z Kr., Antosia W. z K., „Lirnika“ (pseudonym), Alfreda J. z B., Bronisława C. z F., „Rycerza“ (pseudonym), Janka G. z S. i Henryka O. z L.

## Z korespondencji.

*Panience Dz. w Łodzi.* Prosimy o nadesłanie większego wyboru łągiłówek i szarad, a wtedy, być może, życzenie Panienci Dzidzi się spełni.

*P. Z. K. z W.* Żądane numery pisma wraz z przesyłką pocztową wyniosą 43 kop.

*Panience Anusi Sl. w Suchej-Dolnej.* Przyjaciel bardzo się ucieszył wiadomością, że Panienska Anusia napisała ładny liścik do dziadków i z chęcią czytuje „Przyjaciela Dzieci.“ Jakby to dobrze było, gdyby Panienska Anusia i o Przyjacielu pamiętała i także do niego napisała. Przyjaciel z wielkiem zajęciem odczytuje podobne listy, zawsze rad wiedzieć, jak jego czytelnicy i czytelniczki uczą się i czy są posłuszni dla starszych. Niech Panienska Anusia z całą otwartością napisze, a bardzo go tem ucieszy i z kolei odpowiedź otrzyma.



## SZARADA.

PRZEZ

Bogusławę.

Gdy nam dnie zawitały wiosennej pogody,  
 Pierwszy, jako i każda nasza trzecia, druga,  
 Wstały hen! daleko swe zimowe lody,  
 I statkom pożądana nastąpi żegluga.  
 Rolnik za pług się ima, ogrodnik za grabki,  
 Śpiewają już skowronki i rechoczą żabki.  
 Przyleciały bociany, nasi przyjaciele  
 I innych też skrzydlatych wędrowników rzesza,  
 Więc jak na wsi tak w mieście radość i wesele.  
 I każdy do swych zajęć wiosennych pośpiesza.  
 Aż tu naraz się chmurzy i śnieg gęsty spada.  
 I nowa się na dobre zima zapowiada.  
 Dziwy! przy końcu marca tak mroźno i biało!  
 Zasypane ulice, pola i ogrody,  
 Więc rozbudzone życie na chwilę ustało,  
 Ten i ów, lamentując, swe wylicza szkody,  
 A tylko nasi *wszyscy* serdecznie się cieszą,  
 Że się im wydarzyła taka niespodzianka,  
 Nie tracąc ani chwili, na ulice śpieszą  
 I dzwonią w swe sygnały od samego ranka.  
 Wiele wyrządził złego ten śnieżek, niestety!  
 Lecz im sporo napędził grosza do kalety.

## ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA,

ulożona przez Micia H.

Wyraz środkowy i litery środkowe utworzą nazwisko sławnego poety polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1) Samogłoska A. 2) Owad. 3) ....  
 4) Miasto starożytne. 5) Spółgłoska K.

## ZAGADKA.

Wielkość moja przechodzi wielkości światowe,  
 W nocy mam oczu dosyć, jedno tylko dniowe.

## OFIARY.

Na wpis dla biednego ucznia.

Helenka Łęcka, Genia Mazurkiewicz, Jadzia Ciuch z Ząbkowic — razem rb. 3.

## Rozwiązanie zadań.

Szarady: Ka-mie-nie.

Zagadki: Ćwiek u obuwia.

Łamigłówniki sylabowej:

1) Janina. 2) Ankona. 3) Neron. 4) Konstanty. 5) Olcha.  
 6) Matka. 7) Ujejski. 8) Zorza. 9) Yokohama. 10) Kraków. 11) Algebra. 12) Noc. 13) Trawa.

TREŚĆ: Życiorysy ludzi zasługi i pracy. Franciszek Karpiński (z portr.).—Mruk (d. c.).—Marzec, wiersz.—Mierz siły na zamiary (Synowie puszczy poleskiej) (d. c.).—Z biegiem Warty i Noteci. Wycieczka wakacyjna (d. c.).—Wiara, wiersz (z ryc.).—Pogotowie ratunkowe u nas i zagranicą (z ryc.).—Dwaj bracia. Powieść dla młodzieży (d. c.).—Pytania do nagrody. — Z korespondencji.—Szarada — Łamigłówniki.—Ofiary. — Rozwiązania. — Dziedzictwo Jasia (z ryc.) (d. c.).—Zwiastun wiosny.—Jalnużna, wiersz.—Papużka.—Niepowołana piastunka.—Łatwe zagadki i sztuczki rachunkowe.

## OGŁOSZENIA.

Proszę zwracać uwagę  
 na firmę

St. Przeddziecki

Mazowiecka Nr 5.

MAGAZYN UBIORÓW DZIECIĘCYCH i UMUNDUROWAŃ DLA UCZNIÓW wszystkich szkół poleca z najlepszego Ciechanowieckiego sukna marengo spodnie uczniowskie od rubli 3-ech z czarnego kastoru od rubli 3.50.

Krój i robota najlepsza.

CENY STAŁE.

SPODNIE OD RUBLI TRZECH.

SPODNIE OD RUBLI TRZECH.

J. W. WIŚNIAKOWSKI.—ZABAWKI, GRY etc.



TRĘBACKA Nr 4.

NAJPRAKTYCZNIJSZE  
 Palta, sukienki, kapelusze, sukienki  
 do chrztu, bielizna dziecienna

W MAGAZYNIE

JANINY

w Warszawie, Marszałkowska № 151.

TEATR MARYNETEK

Chmielna № 9, pierwsze piętro.

We czwartek, sobotę i niedzielę

... „FLET ZACZAROWANY” ...  
 OBRAZY LATARNI CZARODZIEJSKIEJ

KINEMATOGRAF

Początek we czwartek i sobotę o godzinie 5-ej  
 po południu. W niedzielę i święta o godzinie  
 4-ej i 6-ej po południu.

WARUNKI PRENUMERATY „PRZYJACIELA DZIECI”

W Warszawie rocznie rb. 4, kwartalnie rb. 1. — Z przesyłką pocztową rocznie rb. 5, kwartalnie rb. 1 kop. 25.

Redakcja i Administracja: Hoża 41, w Warszawie. — Kantor: Róg Zgoda i Złotej, dom Kasy Przemysłowców Warszawskich.

Cena ogłoszeń: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12.





## DZIEDZICTWO JASIA.

(Dalszy ciąg).

Jaś długo walczył z cierpieniem: rana, którą otrzymał w nogę, jątrzyła się boleśnie. Z początku leżał w szpitalu, a raczej w chacie wiejskiej, zamienionej tymczasowo na szpital. Towarzysz jego Tadzio zdołał zawiadomić pana Orlickiego o nieszczęściu, które spotkało Jasia. Zaczny opiekun postanowił przewieźć rannego do siebie, do Frasey. Szczęśliwym trafem wioska ocalała od zniszczenia, pomimo pochodu zwycięskich wojsk niemieckich. Nieprzyjaciele omijali ją, leżała bowiem wśród lasów.

W przeddzień przyjazdu pana Orlickiego, Jasio czuł się już nieźle, zrana odwiedził go hrabia de Lunis, którego pułk znajdował się w pobliżu.

— No, i cóż, mój młody oficerze—rzekł hrabia łaskawie — zamiast dzielić z nami trudy wojenne, chorujesz?... To nieładnie!...

— Wołałbym bić się, niż leżeć beczynnice — odpowiedział Jasio.

— Wierzę ci, mój zuchu!

Jasio poruszył się, ręka jego szukała skórzanego woreczka.

— Chciałem czytać — szepnął — ale nie mogę, ćmi mi się w oczach...

— A co chciałeś czytać?—pytał hrabia.

— Papiery zostawione mi przez ojca — odpowiedział Jasio — teraz mogę się już dowiedzieć, co one zawierają...

— Jakto, teraz?... a przedtem nie wiedziałeś? — zapytał hrabia.

— Nie, ojciec nie pozwolił mi ich pierwej odczytać, aż gdy zostanę oficerem.

— I nie zaglądałeś do nich nigdy?

— Nigdy!

— Zapewne jesteś ciekawy dowiedzieć się, co się znajduje w papierach? Daj je, to ci przeczytam.

Jaś wysunął z woreczka zwitek papierów i podał je hrabiemu, który zaczął czytać co następuje:

«Skoro syn mój przegłądać będzie te papiery, może dowiedzieć się całej prawdy. Nie mam powodu już ukrywać przed nim prawdziwego naszego nazwiska. Z pokorą tylko jeszcze raz wyznać muszę, że postąpiłem nikczemnie, tracąc majątek mego dziecka i z tego powodu skazałem się na dobrowolną a ciężką pokutę. Stając w obronie kraju, syn mój odzyska na polu bitwy honor nazwiska i godzien będzie nazywać się księciem de Lunis.

Czytając ostatnie wyrazy, hrabia krzyknął z podziwu, papier wysunął się z jego ręki.

— A więc to ty jesteś księciem de Lunis! — zawołał. — Ty, którego powrotu oczekiwaliśmy! Zatem jesteś ukochanym moim siostrzeńcem, bo musisz być zapewne wnukiem, a nie synem biednego dobrowolnego wygnańca, który poległ w bitwie



— Oto znalazł się dziedzic tego zamku.



pod Sainte-Lucie? Ach, co za szczęście! Niechże cię uściskam, mój chłopcze!

I przygarniając rannego w objęcia, uściskał go serdecznie.

Zdziwienie Jasia niemniejsze było niż hrabiego.

Co? on miałby być księciem?... panem rozległych włości?... On, ubogi sierota bez dachu?

— Nie, to niepodobna! — zawołał, oprzytomniawszy.

— Ależ tak, tak, mój chłopcze, to prawda najszczęsza! Wszystkie papiery są w porządku — mówił hrabia, starannie przeglądając kartki. — Witam więc księcia pana! — dodał żartobliwie.

Jasiowi kręciło się w głowie. Powoli jednak zaczął pojmować ogrom swego szczęścia i ze łzami radości w oczach wyciągnął ręce do hrabiego.

— Uspokój się — rzekł tenże — pamiętaj, że jesteś jeszcze bardzo osłabiony. Papiery zachowaj starannie, bo one są dowodem, że masz wszelkie prawo do tego ogromnego dziedzictwa. Mnie obowiązki powołują teraz do pułku, ale jeśli wyjdę cało z wojny, przyjadę sam po ciebie do pana Orlickiego, aby cię wprowadzić do twego dziedzictwa.

Hrabia odjechał, a pan Orlicki zabrał Jasia do Frasey. Zdziwienie jego nie miało granic, gdy się dowiedział o nazwisku i tytule Jasia.

— Wkrótce nie będziesz nas chciał widywać — rzekł pan Orlicki.

Ale Jaś zapewnił go o swem serdecznem przywiązaniu.

Rezultat wojny wszystkim dobrze jest wiadomy. Francya została zwyciężona i musiała podpisać uwłaczający pokój.

Gdy nieszczęsny kraj uspokoił się trochę, hrabia zjawił się we Frasey, aby Jasia zabrać ze sobą.

Młodzieniec żegnał się ze łzami ze swym opiekunem i prosił go, aby wkrótce przyjechał do niego z Zochną i Tadziem.

I znów jasno gorzały światła w pałacu Lunis, znów goście zebrali się w jadalni, a gdy hrabia wprowadził Jasia, rzekł do zebranych:

— Oto znalazł się dziedzic tego zamku!

Powitano go serdecznie i posadzono na osamotnionem miejscu przy stole. Jaś wypraszał się od tego zaszczytu, ale hrabia nie ustąpił i zmusił go, aby zajął przeznaczony fotel.

(Dokończenie nastąpi).

## ZWIASTUN WIOSNY.

Czy znacie tego jegomościa w płaszczku z szarych piórek z długą ostrogą przy nodze? Ledwo świt na niebie, on już w polu, już woła na rolnika: «Wyjeżdża.. aj! Wyjeżdża...aj!»

To imci pan skowronek. Mały, niepozorny, ale ruchliwy i wesoly.

Tęskno mu do rodzinnej ziemi, więc niech-no trochę śniegi stopnieją, opuszcza ciepłe kraje, i...

Leci, leci skowroneczek,

Wiosnę niesie nam.

A że to bywa po Świętej Agnieszce, więc lud mówi: «*Święta Jagnieszka, wypuściła skowronka z mieska.*»

Skoro trochę ociepli się, zaczyna skowronek robić gniazdo. Wynajdzie sobie jaki kącik zaciszny, wygrzebie pazurkami dołek, wyściele mchem i już mieszkanie gotowe.

Żywi się czem Bóg da. To robaczka, to muszkę złapie, to ziarna dziobnie. Po świeżo zora-nych skibach biega jak po stole, bo ów długi pazurek, tak zwana ostroga, nie pozwala, by mu nogi zapadały w ziemię.

Skoro zmęczy się pracą, bierze suchą kąpiel dla odpoczynku, to jest wynurza się w piasku, czy pyle, strzepnie skrzydełkami i po wszystkim. Furknie wtedy w górę i dzwoni w powietrzu, jak srebrny dzwoneczek.

Lud w krakowskiem mówi, że skowronek śpiewa godzinki, to jest pewne modlitwy, a gdy je prześpiewa, milknie i leci coraz wyżej, coraz wyżej, spowiadać się Panu Bogu.

Poeta polski, Wincenty Pol, tak znowu pyta skowronka:

— O co prosisz, skowroneczku,

Czy o pokój w twem gniazdeczku?

Czy o ziarno — drobną miarką?

Czy o wodę dla ochłody?

— Ja o szczęście proszę wioski,

Bom ja śpiewak Matki Boskiej.

Dlaczego zaś nazywają skowronka śpiewakiem Matki Boskiej, powiem wam kiedyindziej.

J. Ch.



## Jatmużna.

O porannym wiosny chłodzie  
 Brońcia biega po ogrodzie,  
 Zbiera wonne, śliczne kwiatki:  
 Róże, jaśmin i bławatki.

Splata wianki, jeden duży  
 Ze stulistnej zwiija róży,  
 Nuci piosnkę, splata znowu,  
 Rada z cudnych róż połowu.

Wtem spostrzega: tuż u drogi  
 Klęczy starzec tak ubogi,  
 Tak tam drżące wznosi ręce  
 Ku przydrożnej Bożej Męce!

Tak mu, widać, ciężko w świecie,  
 Tak go nędza, starość gniecie,  
 Że dziewczęciu łza błysnęła  
 I pod krzyżem przystanęła.

— „Mój staruszkule! pragnę szczerze  
 Dać wam zaraz coś w ofierze,  
 Wesprzeć groszem, lecz cóż zrobię,  
 Kiedy nie mam nic przy sobie?

„Chyba wieniec z samej róży  
 Dam wam taki ładny, duży!  
 Łatwo kupić, kto go może,  
 I już przez to was wspomóżę.

Starzec przyjął i w podziękę  
 Błogosławi dziecka ręce,  
 Z góry niebo lazurowe  
 Słońcem wieńczy Brońci głowę...

Starzec mówi: „Za ten datek  
 Daj ci, Boże, róż dostatek  
 W dalszem życiu, a te różę  
 Niech ci znaczą szczęście duże.

„Bóg nie patrzy, czy ofiara  
 Warta rubla lub denara,  
 Ale: z jakim sercem dziatki  
 Niosą biednym swoje datki “

*Józef Grajner.*

## PAPUŻKA.

Wandzia uczyła się czytać i pisać po polsku, religii i rachunków, a prócz tych nauk nauczycielka dawała jej lekcje języka francuskiego. Chociaż po francusku Wandzia mało rozumiała, pyszniła się, że umie mówić w obcym języku.

Ale Wandzi zdawało się tylko, że umie po francusku, bo jakkolwiek dużo słów pamiętała, nie rozumiała ich znaczenia.

Często mówiąc po polsku, że jest głodna, dodawała po francusku, że zjadłaby wino, bo wyrazi: pain — chleb i vin — wino pomieszały się jej w główce. Było to bardzo zabawne i starsze rodzeństwo śmiało się z niej, nazywając ją papużką.

— Dlaczego Janek i Miecia nazywają mnie papużką? — zapytała raz obrażona Wandzia mamy.

— Bo papużki — odpowiedziała mama — zwykle mówią to, czego nie rozumieją, powtarzają tylko za innymi usłyszane wyrazy. I ty, moje dziecko, robisz jak papużka. Nie rozumiesz, co mówisz, a chcesz się pochwalić, że umiesz trochę po francusku. Przedewszystkiem powinniśmy kochać swój język i starać się pięknie i czysto nim mówić. Znajomość obcych języków jest potrzebna, dlatego każe cię ich uczyć, ale przykro mi jest, gdy moja córeczka miesza do mowy ojczystej wyrazy cudzoziemskie. Pokazuje przez to, jak jest próżną, chwając się znajomością kilkunastu słów francuskich i naraża się na śmieszność, jak zwyczajna papużka.

Wandzia zawstydziła się i od dnia tego nigdy już nie mieszała wyrazów francuskich do mowy polskiej, a rodzeństwo, widząc, że siostrzyczka poszła za radą mamy, przestało się z niej naśmiewać.

*Józefa G.*

## Niepowołana piastunka.

Pewnego razu ujęto w Indyach Wschodnich żywą malpeczkę i podarowano małej Elizie, córce pewnego generała angielskiego.

Było to zwierzę łagodne i bardzo śmieszne, nic nie uszło jego baczności, wszystko naśladowało. Małpka bawiła się z małą Elizą jak dziecko, a nieraz oddawała drobne przysługi służącym.

W kilka miesięcy później przyjechała do Kalkuty, wielkiego miasta w Indyach, siostra generała z pięciomiesięczną dziewczynką w celu odwiedzenia rodziny swego brata.

Pewnego razu piastunka, murzynka, usypiała w kołysce dziecko swej pani i zasunęła firaneczkę, ażeby nie pokłóły go muskity, dokuczliwe muchy, których bardzo dużo jest w tym kraju; żeby zaś odświeżyć powietrze, poruszała wachlarzem ponad kołyską.



Po chwili, ujrawszy, że dziecię zasnęło, poszła do pani, chcąc się jej o coś zapytać.

Gdy powróciła, ujrzała z przerażeniem, że firanki były odsunięte, a w kołysce dziecka nie było.

Na jej krzyk przybiegła matka dziecięcia. Do pokoju, w którym dziecię spoczywało, można się było dostać tylko z przyległego pokoju, ale w nim siedziała matka dzieciny, rozmawiając z żoną generała. Tą drogą zatem dziecięcia napewno nie wyniesiono.

Nasuwała się jedynie myśl, że ktoś wszedł przez okno otwarte i wyniósł dziecinę.

Niepodobna opisać przerażenia matki. Cała rodzina generała przybiegła do pokoju. Biedna matka płakała, załamując ręce w bezsilnej rozpacz.

Rozesłano służących i murzynów, aby szukali dziecka. Generał starał się uspokoić siostrę, gdy wtem usłyszano na drzewie naprzeciwko okna kwilenie dziecięcia.

Na gałęzi drzewa siedziała małpa Elizy, piastująca niemowlę na rękach. Na ten widok przerażona matka krzyknęła w rozpacz, podniosła ręce do góry, jak gdyby błagając złą małpę, aby zwróciła jej to, co dla niej było najdroższego na świecie.

— Oddaj mi moje paniątko! — wołała murzynka, grożąc pięścią małpie. — Zejdź czempredzej!

Zrozpaczona matka prosiła generała, ażeby kazał murzynowi wdrapać się na drzewo, ale ten odrzekł:

— Gdyby małpa ujrzała, że ją ścigają, wdrapałaby się wyżej, a skacząc z gałęzi na gałąź zniknęłaby nam z oczu.

Snać małpa spostrzegła, jakie sprawiła zamieszanie, gdyż krzywiła się niemiłosiernie, coraz gwałtowniej kołysząc niemowlę, które wywijalo rączkami, lecz zdziwione widokiem kudlatej swej piastunki, nie płakało.

Mała Eliza poczęła łagodnie przywoływać małpę, która dotychczas zawsze była jej posłuszna, ale ta wstrząsała głową na znak, iż tego nie zrobi.

Ujrawszy to, biedna matka błagała brata, aby kazał zabić małpę wystrzałem z fuzyi.

— Nie uczynię tego — odrzekł generał — gdyż możnaby wypadkiem trafić w dziecię. Gdyby zaś zabito małpę, upuściłaby niemowlę.

Po chwili generał kazał wszystkim odejść do drugiego pokoju.

Małpa, ujrawszy, że nikogo niema w pokoju, zaczęła bojaźliwie spoglądać na prawo i na lewo, przyciskając jedną ręką dziecię do piersi, a drugą chwytając się gałęzi i tak zeszła zgrabnie na dół.

Stanąwszy na ziemi, weszła do mieszkania, a położywszy ostrożnie małą dziewczynkę w kołysce, poczęła ją kołysać. Usłyszawszy jednak szelst w sąsiednim pokoju i obawiając się, aby jej nie pochwycono, wyskoczyła przez okno. W tej chwili drzwi otworzono, a cała rodzina podbiegła do kołyski.

Mała dziewczynka, uśmiechając się, niezrażona przygodą jaką ją spotkała, wyciągnęła rączyny do tych, którzy przed chwilą drżeli o jej życie.

Odtąd ostrożniej postępowano z małpą, nic więc podobnego już się nie przytrafiło.

*Henryk Wernic.*

### Łatwe zagadki i sztuczki rachunkowe.



Podane niżej litery ułożyć w załączonym kwadracie w ten sposób, ażeby w pierwszym wierszu poziomym był ten sam wyraz, co w pierwszym wierszu pionowym, jeżeli go czytamy z góry na dół. Litery mające być użyte w tej zagadce: 3 a, 3 i, 3 n, 2 k, 2 l, 2 r, 1 o.



Choć ciągle idę, nie ujdę wiele,  
Gdy mnie zawieszą, to chodzę śmieie.  
Nigdy nie jadam, ani też piję,  
Ale też za to dzień i noc biję;  
A chociaż biję, to nie z mej woli,  
Nikogo jednak bicie nie boli.

### ROZWIĄZANIE.

*Zagadki:* Okoń — koń, klin — lin.

*Szarady:* Rów — wór.